

PO CO MI TO BYŁO...

Mam duży, wygodny telewizor, przytulną kanapę i 43 lata. Mam zaprzyjaźnionego pilota TV, co udalnie leży w dłoni i aż prosi żeby ponaciskać mu guziki. Mam lodówkę, która nocą przyjaźnie mruczy i ciągnie chłodkiem po gołych stopach, gdy z niej się podzera. Ważę około 130 kilogramów i moja ręczność nie jest jelenią, a zwinność koczkodanią. I zachciało mi się na Horn! Znanym z wygod wycieczkowcem żaglowym **Zawisza Czarny!**

Mirek "Kowal" Kowalewski



Siedziałem sobie w szuwarach i bagnie, to mi się na starość oceanów zachciało! I kolorowej chusty na ramię. I sprawdzenia, czy jeszcze dam radę!? I zagrania na nosie paru kapitanom, co to za Bałtyk i Morze Północne nie popłynęli. A nas, szuwarowobagiennych oraczy wód śródlądzia, z naszymi Mazurami i piosenkami, mają głęboko w... pogardzie. I wiecie co? Chociażby dla tych kilku powodów, cholernie warto było tam popłynąć!!

Droga na Horn...

Najpierw to się okazało, że ten Horn to jest tam, gdzie ludzie chodzą do góry nogami. Obracałem ten globus na wszystkie strony i nijak nie chciało mi się wyjść, by do Valparaiso, gdzie mieliśmy się zaokrętować na *Zawiasa*, z Ursusa dało się dojechać łądem. No i okazało się, że trzeba tam dolecieć samolotem. Ocho! Czy trochę nie za dużo tych Hornów jak na mnie? W życiu nie leciałem samolotem i mogło tak przecież pozostać. Ale nie, zachciało mi się na Horn! Jak startowaliśmy z Okęcia, to ja myślałem, że tylko ptaki przy lataniu machają skrzydłami, a samolotów to nie dotyczy. Ale widocznie mało wiedziałem. Widząc moją przezroczystość, stewardessy i koledzy zajęli się mną troskliwie i za pomocą Finlandii przysługującej w cenie biletu, uspokoili moje skołatanne nerwy.



W Amsterdamie mieliśmy jedenaście godzin przerwy w podróży do Santiago de Chile. No to wymyśliliśmy, aby zwiedzić to cudowne miasto. W kilku łąziliśmy wśród kanałów, barów i ulic, umykając rowerzystom, aż zrobiło się wieczornie. Zmęczeni postanowiliśmy pod dachem, w ciepłe, przeczekać te parę godzin. No to pójdziemy do jakiego muzeum. Może Van Gogha? Zaczepił nas jakiś facet i po holendersku coś gadał i gdzieś nas ciągnął. W łamanej angielszczyźnie dowiedzieliśmy się, że coś nam to muzeum drogo wychodzi. Ale jeden z nas wynegocjował 50% zniżki dla zorganizowanej grupy harcerzy. Dziwne to było muzeum,

kolorowe światełka, bordowe kafary, scenka, a przy wejściu dają drinka. No! myślę sobie, co kraj to obyczaj. U nas w Narodowym to jest inaczej. Potem wyszła pani na scenę. Ocho! pomyślałem, to na pewno przewodniczka! Ale coś chyba było jej gorąco, bo zaczęła się odtekstylniać. Moje wątpliwości zaczęły rosnać, bo to, co nam pokazała, to na pewno nie były „Słoneczniki” Van Gogha... Tak to jest, jak się nie zna obcych języków.



Potem, na lotnisku zaprowadzili nas do stodoły ze skrzydłami i powiedzieli, że to jest JumboJet. Przecież nie jest możliwe, żeby czterysta ton żelastwa plus moje 130 kilo latało. Odważnie zamknąłem oczy i otworzyłem je dopiero nad Gibraltarem. A najbardziej to mi się podobał kibel w tym samolocie. Myślałem, że to jest tak jak w pociągu. Że się naciśnie nogą taki pedał, otwiera się tajemnicza klapka i widać śmigające podkłady pod szyny. Nie miałem miejsca przy oknie, to sobie ziemię pooglądałem przez tę klapkę. Ale nie. Żadnej klapki, ani pedału, a wszystko po angielsku. W końcu usiadłem, a współczynnik wypełnienia przestrzeni toaletowej mam 100% i nacisnąłem jakiś guzik. Nagle pode mną coś chrupło, zawyło... i wessało mnie do środka. Wot technika!!!

ZAWISZA wita

Jest! Jest kochany stary *Zawias*! Stoi w porcie marynarki wojennej Chile. Po 200 km jazdy mikrobusem dopadliśmy *Zawiszę*. Część ludzi już była. Część ludzi jeszcze była.



Poprzedni kapitan jeszcze spał w kabinie kapitańskiej, a Nowy spał w tostach. A nas zżerał żar. Wszyscy radzili: *jedziesz na Horn. Wiesz jak tam jest*. No to nabrałem kalesonów, swetrów, kurtek, dresów, czapek, szalików i rękawic. A tu +35°C! Swąd spalonej skóry mieszał się z zapachem bryzy z Pacyfiku, dodając uroku wieczorom w Valparaiso. Już pierwszy wieczór zapowiadał dobry rejs. Paru chłopów trochę śpiewało. Siurawa, Wydra, Garbaty i ja, no i oczywiście... Kapitan. Na pokładzie rufowym koncertina, dwie gitary, nieco zużyte głosy pozwalały załodze się pozbyć resztek tego, co to z kraju poprzywoziła. Suto zakrapiane gwiazdami niebo, życzliwie przyglądało się naszym poczynaniom. A żeglarskie śpiewanie ukołysowywało *Zawiszę* do snu. Ech! Moja pierwsza noc! Kapitan przydzielił mi koję 41. Na parterze, żebym swej tuszy nie obnosił po kojach na piętrze. I za to mu dzięki! Ale w koi wielkości piórnika, to się jeno Plastuś może zmieścić. Pierwszej nocy udało mi się ułożyć w koi lewą nogę i dłoń lewą. Reszta zwiśla na zewnątrz. Czuję się jak netoperek. Po dwóch dniach i jednej flaszcze, przyjaciel Rekin odstąpił mi swoją koję piętro wyżej,

blagając bym uważał przy wchodzeniu i schodzeniu. Bo nadeptnięcia cherlawe jego ciało mogłoby nie przetrzymać. Prorok, czy co?

Wachta

Gdy wyczytali nazwiska ludzi z poszczególnych wacht, to nie bardzośmy się znali. Ale w czasie spotkania integracyjnego już wiedzieliśmy, że będzie dobrze. Wachtmanem był Marek. Prawdziwy admirał. Wesoły gość, co czasem śpiewał, a nie można było znaleźć wyłącznika głosu. Potek Krzysiek. Ze sfer rządowych. Zwinny jak małpa i cholernie robotny. Co nas bardzo cieszyło, że chociaż on jeden. Michał, co robi psiuakcze roślinne. Samozwańczy admirał Połączonych Flot Niezwyciężonych Pakistańskich i Albańskiej. Wydrajan, kapelan zespołu EKTGdynia i ja. Acha! Była jeszcze jedna dziewczyna, śliczna, zgrabniutka, dobra żeglarka - Dorotka. W swym szatańskim zamyśle przypisania jej do naszej wachty Kapitan wiedział, że tam jest bezpieczna. Bo jedyne uczucia, które by jej z naszej strony groziły, były bardziej ojcowskie. A nad tym ja bolałem najbardziej. Bo była warta grzechu... No i był jeszcze Broniek. Szczupły i owłosiony inaczej. Wspaniały kompan, ale jego Kapitan zaanektował do kambuza. To przez niego (Bronka!), zamiast schudnąć w sztormach i burzach, to przytyłem 2 kilogramy!

A hasłem naszej IV wachty było: Przy nas mrówki to banda opier... (leniuchów).

Kapitan

Są faceci, którym w życiu nie idzie. Żona z teściową strzelają dziobem i biją, dzieci lekceważą, a szef w robocie ciągle się czepia. Niedowartościowani nieudacznicy. Niektórzy z nich zostają kapitanami. Tam mają parę metrów władzy i załogę, na której mogą odbić sobie lądowe niepowodzenia. I dzięki takim kapitanom zniechęciłem morze. Uciekłem na jeziora, gdzie sam sobie jestem kapitanem i przynajmniej sam nad sobą się wyżywam. W rejsie na Maltę *Zawiszę* zacząłem znowu lubić morze, a to dzięki kapitanowi, który hołdował zasadzie, że ma być bezpiecznie i... przyjemnie. Dlatego chętnie popłynąłem na Horn pod Waldkiem.

Waldek, to jest taki dziwny facet, co to ma z żoną Lušką furę dzieci, a traktuje ją ciągle jak ukochaną narzeczoną. Sami powiedzcie jak z takim gościem nie popłynąć? Bo o takich oczywistych drobiazgach jak fachowość i autorytet, to w ogóle nie mówię. Znam człowieka z setek imprez, gdzie razem graliśmy, śpiewaliśmy i naszym wątrobom urządzaliśmy Waterloo. Zawsze spokojny i gdy mieliśmy czasami pełne



gacie strachu w rejsie, to wystarczyło na niego spojrzeć, aby przestać się bać. Piszę tak nie dlatego, by mu kadzić. Bo jego spokój i generalnie pozytywny stosunek do ludzi, czknie mu się nieraz w tym schamionym świecie. Ale piszę ku uwadze młodych, ambitnych, różnych pierwszych oficerów: autorytetu i szacunku załogi nie zdobywa się krzykiem!

Na spotkaniu z załogą, w czasie pierwszego trucia starego powiedział słowa, które zapisane zostaną złotymi zgłoskami w annałach *Zawiszy*: *Nie wiem jak skończy się nasza wyprawa. Nie wiem czy opłyniemy Horn. A jednego jestem pewien. Jak Zawisza Zawiszą, nie było jeszcze na pokładzie takich modeli, jak w tym rejsie!*

A gdy skończył w czasie rejsu 40 lat, w dniu gdy weszliśmy w Ryczące Czterdziestki, to załoga śpiewała skomponowany specjalnie na tę okazję:

*Toż to w głowie się nie mieści
Toż to jaja są z pogrzebu
Żeby kończyć lat czterdzieści
Wśród takich poje... (modeli)*

Załoga

O rany! Kogo tam nie było. I Henryk Sienkiewicz, i dwóch byłych ministrów, i dwóch admirałów (w tym jeden prawdziwy) i muzycy, i studenci, bezrobotni i businessmani. Średnia wieku od czternastu lat do stu trzydziestu kilogramów. Jeden były minister co to go osobiście przedtem nie znałem, tylko z pracy i kabaretu, okazał się rewelacyjnym facetem. Trochę za nerwowo, ale go rozumiem. Praca przy byłym prezydencie... Tak naprawdę to dzięki Mietkowi ten rejs się w ogóle odbył.

W maszynie siedzieli Ernest i Rysiek. To dzięki ich gołębiemu sercu mogliśmy w sztormach mieć coś suchego do włożenia, gdy maszynownia stawała się suszarnią sztormiaków. Nie mogę do dziś odkryć ich tajemnicy. Jak oni odytkali te kible?

Higiena

Już na początku wiedzieliśmy, że z kąpeli nici. Bo odsalarka wody się zes... (zepsuła). Rozpocząłem więc badania naukowe na temat: odporność załogi *Zawiszy Czarnego* na caping Kowala. Prysznicze włączano na 15 minut dziennie. Było paru czyścioszków. Ale ich smród mydlanodezodorantowy był bardziej nie do zniesienia, niż capi zapach reszty. Ponieważ moja oszczędność słodkiej wody była godna nagrody, otrzymałem przywilej kąpeli raz w tygodniu w prysznicu kapitańskim. Ale ponieważ jestem twardy w postanowieniach, ani razu nie skorzystałem. Swoją drogą dobrze, że to był męski rejs.



Zdrowie

Siurawa przywłókł na burtę grypę. W dwa dni jedna trzecia załogi zaległa. Stan wacht zmniejszył się niejednokrotnie do dwóch osób. Ci co się lepiej czuli, wyłazili na wachty, reszta sobie fajnie pomagała. Opiekowaliśmy się sobą jak tylko mogliśmy. Herbatka z miodem i cytryną dla chorych. I dobre słowo. Potem się okazało, że był z nami lekarz. Ale był prywatnie i nie miał stetoskopu. Może dlatego nie chciał się angażować w szpital na okręcie!? Ale Kaduceusz mu w rufę. Jakoś przeżyliśmy. Choroba morska trochę osób zborykała. Najbardziej to operatora kamery TV. Ja patrzę, co to za ufoludek snuje się po pokładzie z kamerą? A to nasz Marek mocno zielony na twarzy, coś kręci.

Innych chorób nie było. Zresztą załoga nabrała takich umiejętności medycznych, że gdy zwichnąłem kolano na pokładzie umyłym ludwikiem, to opuchliznę okładano mi... zmrożonym dorszem.

Do dowódcy marynarki wojennej...

Powszechnie wiadomo, że w porcie statki rdzewieją, a marynarze schodzą na psy. My również wpłynęliśmy do Chacabuco. Musieliśmy pobrać słodką wodę, bo czyścioszki oraz kambuz poprzednią wychłały. Chacabuco, to maleńki porcik zagubiony gdzieś w Patagonii, wśród potężnych gór. Maleńka miejscina z jednym kościołem, jedynym burdelem i jedną knajpką. Dziura taka, że nawet pingwiny już tam

zawracają. Kapitan dał załodze parę godzin wolnego i, z braku muzeum i Filharmonii, wylądowaliśmy w portowym barze. Siedzimy cicho, sączymy rozmowy, jest miło i przytulnie. Nagle, w knajpce gdzieś na końcu świata, w porciku zagubionym wśród wzgórz, zaroilo się od cholernie głośnej, wręcz wrzaskliwej klienteli. Rozpoznaliśmy z ogromnym zdziwieniem szwagot naszych sąsiadów (obecnie przyjaciół z NATO). Cholera! Nawet tutaj ich diabli przynieśli. Przytłoczeni ich krzykliwą obecnością, w miarę zwiększania się naszego rachunku w barze, zaczęliśmy coś przebąkiwać o wyrównaniu rachunków za Westerplatte. Odwaga mołojcka w nas wzbierała, dłonie imać się jęły szabel, a na dowódcę obraliśmy najwyższego szarżę... admirała Marka. Admirał Marek, widząc co się święci, uporządkował nasze hufce bojowe, zacieśnił szyki i... wyprowadził nas z knajpy.

Do III wojny światowej nie doszło. A ja mam prośbę do dowódcy Marynarki Wojennej:

Niech Szanowny Pan wyleje z roboty admirała Marka. Bo jeśli mamy w sztabie takich pacyfistów, to jak mamy wygrać jakąkolwiek wojnę?...

Strach...

Czy się bałem? Jasne!!! Mieliśmy psią wachtę. Noc bezgwiezdna. Rzuciło statkiem jak k... po spowiedzi. Wiatr 810. Stałem za sterem wściekły, bo wiało z rufy, a ja nie mogłem utrzymać kursu gdy *Zawias* schodził z 6metrowych fal. Zaknagowałem się szelkami na naglach przy bezanie, bo przechył dwa razy wyrzucił mnie od steru. Nie wiem czy to był deszcz, czy to fale zwiewane wiatrem. Wpatrzony w światelko kompasu usiłowałem zatrzymać roztańczoną busolę na kursie. Było zimno. Ubrany byłem w kalosze, dresy, bluzę i sweter. Na to spodnie od sztormiaka z szelkami. Na wierzch góra od sztormiaka z setką rzepów zaciskowych i w szelkach bezpieczeństwa. Zaciśnięty kaptur dawał tyle widoku, co przyłbica rycerzowi. Ciasne rękawice na rzepy dopełniały reszty. Nagle przyszedł grad i szkwał. Zaczęło we mnie wzbierać przerażenie, bo... odezwała się we mnie kolacja. Wiedziałem, że to nie żarty. Rozpoczął się wyścig czasu z dolnym odcinkiem przewodu pokarmowego. Drobiąc jak gejsza, oddawszy ster Wydrze, posuwałem się w kierunku schodów ze spardeku. Dużego kroka to ja dać nie mogłem, bo... powoli, z wysiłkiem posuwałem po rozszalałym pokładzie, do kabiny nawigacyjnej.

Bo za nią, w korytarzyku czekał na mnie zbawczy, kapitański kibel. Gdy pokonałem wysoki próg i dwa schodki, rozpoczął się prawdziwy wyścig z czasem. Kapitan i oficer wachtowy rozplątali mnie z szelek. Kolega zdierał ze mnie kurtkę, gdy ja walczyłem z suwakiem i szelkami. Jeszcze sweter i bluza. Z nogami spętanymi spodniami rzuciłem się w kierunku zbawczych drzwi... Zdążyłem!!! Cała kabina nawigacyjna usłana moją odzieżą sprawiała wrażenie pobojuwiska pod Grunwaldem. A ja blady i zziębnięty, wsparty o framugę zbierałem gratulacje.

A tak się bałem... że nie zdążyć!!!



Horn

Gnaliśmy przy 8 z baksztagu ponad 10 węzłów, co dla ZAWISZY jest nadprędkością. Miałem nadzieję, że Horn pozwoli mi się opłynąć jako sternikowi. Niestety! Zabrakło mi 1,5 godziny. Pogoda była przepiękna. Coś zaczęło nam majaczyć przed dziobem. To był On! Widzieliśmy Horn z 15 mil! Zbliżyliśmy się doń szybko, a na pokładzie zrobiło się ludno. Bronek, nasz kuk umył się i ogolił, założył świeże, białe spodnie i koszulkę. Kapitan spodnie w kancik i czapkę. Niezrozumiałe wydawać by się mogło, podekscytowanie zaczęło się wkradać w szeregi. Tu i ówdzie z kieszeni wyciągał szyję szampan by zobaczyć przyładek. Zaczęły bzykać aparaty. A mnie, starego chłopca, coś zaczęło ścisnąć w krtani. Chyba słona kropla z morza podrażniła mi oczy, bo poszedłem na samą rufę, by te oczy wytrzeć. Po co chłopaki mają myśleć, że becze. Ale to jakaś epidemia, czy co, bo już na rufie było nas tam paru z chorymi oczami...

Pod Horn podprowadziły nas delfiny obuburzną asystą. A gdy Waldek zebrał załogę na rufie i powiedział, że Horn pozwolił nam się opłynąć i możemy sikać pod wiatr i gwizdać na pokładzie, tośmy się ściskali jak banda kochających inaczej. Mietek rzucił butelkę z listą załogi, a my, LOKowcy z Węgorzewa oddaliśmy wraz z całą załogą honor braciom Ejsmontom i wszystkim innym, którzy tu czuwają na wiecznej wachtie. Złożyliśmy na falach piękny wieniec z lin, zrobiony przez bosmana i trochę pomilczeliśmy. A potem to już...

Żal...

Że to już koniec. Trzeba namarzyć nowych marzeń, bo tamto już się spełniło. Nie wiem czy zobaczę

jeszcze kiedyś koniec drogi mlecznej z przyczepionym do niej Krzyżem Południa. Czy zobaczę z morza Andy i Patagonię. Czy jeszcze popłynę z tymi ludźmi na jakiś nowy Horn. Nie wiem jaka będzie załoga na drugie okrążenie, ale tej załogi nie zapomnę. Może kiedyś uda mi się podziękować za te trzy tygodnie. A tym dwóm, co to ich nie lubiliśmy, to postawię wielką wódkę, bo spełnili bardzo potrzebną rolę. Było gdzie kierunkować złe myśli. Dzięki temu wśród załogi nie było żadnych konfliktów. Wszyscy się rozjechali. A tak chciałbym ich zabrać do muzeum w Amsterdamie w drodze na jakiś nowy Horn.

Fot. z arch. Mirka □Kowala□ Kowalewskiego

Źródło:

Miesięcznik „Rejs” Nr 2 - Kwiecień 1999 r.

http://www.kormoran.aplus.pl/rejs/ROK_1/kwiecien/spistresci.htm